

Z u z a n n a O r l i ń s k a

Cierpienia
SIĘCIOLAŃKA



Z u z a n n a O r l i ń s k a

Cierpienia
SIĘCIOLATKA
ilustrował Mikołaj Kamler



Uwaga!

Wszystkie postaci
i wydarzenia opisane
w tej książce są fikcyjne!*

* Choć niektórym osobom
pewne sytuacje mogą wydawać
się dziwnie znajome.

Zuzanna Orlińska
Cierpienia sięciolatka

© by Zuzanna Orlińska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Mikołaj Kamler

Korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie II

ISBN 978-83-7672-511-6

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

KONIEC ŚWIATA



Ja to mam zawsze pecha. Nie dość, że urodziłem się w zimie, kiedy przypada szczyt zachorowań na grypę, więc w urodziny zawsze jestem chory, to jeszcze zazwyczaj jest paskudna pogoda i mnóstwo przedświątecznych przygotowań, przez co rodzice w biegu wręczają mi jakiś prezent, a po zdmuchnięciu świeczek na torcie każdy wraca do swojej roboty. Gutek ma dużo lepiej, bo urodził się w czerwcu, kiedy wszyscy się cieszą ciepłem, pogodą, długimi dniami i rychłym początkiem wakacji, a mama ozdabia mu tort truskawkami i czereśniami.

Ale w tym roku to już było najgorzej, bo okazało się, że na moje dziesiąte urodziny wyznaczono koniec świata. Dowiedziałem się o tym z telewizji, mniej więcej tydzień przedtem. Pewnie dowiedziałbym się jeszcze wcześniej, ale u nas prawie nie ogląda się telewizji, więc o wszystkim dowiadujemy się ostatni.

Wtedy byliśmy u dziadków na obiedzie. U dziadków telewizor jest zawsze włączony, bo dziadek cierpi na głód informacji. Cały czas słucha radia, ogląda telewizję i czyta mnóstwo gazet. Kiedy powiedzieli o tym końcu świata, dziadek się bardzo ucieszył.

– Nic mnie tak nie podtrzymuje na duchu jak myśl o tym, że to wszystko wkrótce rypnie! – powiedział z satysfakcją. Nie dowiedziałem się, czego rypnięcie tak szczególnie dziadka cieszy, bo babcia zaraz go skarciła wzrokiem i powiedziała:

– Ćśś, nie przy dzieciach – i dziadek umilkł, a ja nie umiałem się domyślić, bo nie śledzę tych wszystkich wiadomości i przez to nie nadążam za wydarzeniami.

Później już się u nas o końcu świata nie mówiło. Aż do poniedziałku, kiedy Gucio po przyjściu z przedszkola oznajmił z zabójczym uśmiechem:

– Powiedziałem dzisiaj Emilce, że będę ją kochał aż do końca świata, a ona się tak strasznie ucieszyła! Ale się dała nabrać, pewnie nie wie, że to jeszcze tylko trzy dni – i zadowolony zabrał się do obiadu.

Wcinał makaron, aż mu się uszy trzęsły, a ja niczego więcej nie mogłem przelknąć. Tylko trzy dni! I koniec świata w same moje urodziny – co za potworna niesprawiedliwość!

– Konrad, dlaczego nie jesz? – zapytała mama i już wtedy nie mogłem wytrzymać, musiałem jej powiedzieć o moim urodzinowym pechu. Mama zaczęła mnie jakoś pocieszać, ale słabo, bo sama nie wiedziała, co robić, a Gutek zawołał:

– Tylko żeby ten koniec świata wypadł po torcie i prezentach!

On jest chyba jeszcze głupszy niż ci, co uważają, że jak będą mieli zapas wody i latarkę, uda im się przeżyć. Też ich pokazywali w telewizji. Ja się za dobrze nie znam, ale wiem, że koniec to znaczy koniec – czyli że już potem nic nie będzie. Dorośli ludzie, a tacy głupi. Myślą że co? Że będą dryfowali w kompletnej próżni wyposażeni w te swoje latarki? Idiotyczne.

Zapytałem mamę, czy będę mógł zaprosić kolegów na nocowanie, skoro tego dnia nastąpi koniec świata, a ona powiedziała, że nie widzi przeszkód, bo w zasadzie nie ma na ten koniec żadnych specjalnych planów, a z kolegami może być różnie. Jednak kiedy zaczęła dzwonić do innych rodziców, pojawiły się trudności. Największy opór stawiała mama Messiego. Prawie się popłakała ze zdenerwowania, mówiąc, że tego szczególnego dnia wołałaby jednak mieć Messiego blisko siebie, bo chociaż ona właściwie nie wierzy w żadne zabobony, to kto może przewidzieć, co się będzie działo. Mama cierpliwie przekonywała ją, że w razie czego zajmie się Messim jak własnym dzieckiem. Stało na tym, że Messi jednak przyjdzie, ale pod warunkiem, że u nas w domu na pewno będzie zapas wody, latarka i świece.

W dniu końca świata, czyli w moje urodziny, od rana była bardzo ładna pogoda. Nic nie zapowiadało kataklizmu. Gutek nie poszedł do przedszkola, bo się zaziębił. My mieliśmy tylko klasową wigilię, a następnego dnia

zaczynały się ferie. No ale to przecież nie miało znaczenia, bo świat się właśnie kończył.

Rodzice nie wyglądali na specjalnie przejętych. Mama co prawda kazała tacie kupić świece, a ja dodatkowo poprosiłem go, żeby przyniósł saperkę z samochodu. Ale to były raczej takie żarty.

Pierwszy przyszedł Marcin, a niedługo po nim Messi i Kacper. Zabrałem ich do mojego pokoju. Planowałem, że razem pogramy, bo my gramy w RPG i ja jestem najlepszym w klasie mistrzem gry. Jak kiedyś prowadziłem grę na godzinie wychowawczej, to udało mi się nawet nakłonić naszą wychowawczynię, żeby wcieliła się w złego goblina i ukradła krasnoludom kieszkę ze złotem.

Na moje urodziny przygotowałem dla chłopaków specjalny



scenariusz, ale Gutek nam cały czas przeszkadzał i nie chciał wyjść z pokoju, chociaż mama wołała, że mu puści jakiś film na DVD. Wysypał z kosza wszystkie klocki i bardzo głośno gadał, kiedy się nimi bawił, a jak mu zwróciłem uwagę, to powiedział, żebym się nie wtrącał, bo on wymyślił bardzo romantyczną zabawę, że przed wiekami w Egipcie faraon wziął ślub z faraonką. Gutek jest strasznie romantyczny, lubi oglądać filmy o miłości (ja ich nie znoszę) i najbardziej mu się podobają takie ckliwe, miłosne piosenki, od których mnie aż zęby bolą. Namawiałem go, żeby sobie poszedł, bo psuje mi urodziny. A on na to:

– I tak zaraz będzie koniec świata, więc urodziny będziesz miał popsute.

Wtedy Messi zaproponował, żebyśmy w takim razie zegrali później, a teraz coś przekąsili. Mama przyniosła nam tort do pokoju i było tak jak zawsze na urodzinach: zdmuchnąłem świece, wszyscy zaśpiewali *Sto lat*, chociaż to brzmiało dziwnie w obliczu nadchodzącej katastrofy, a Gutek rzucił mi się na szyję, wołając:

– Miłego końca świata!

On jest naprawdę denerwujący.

Po torcie dałem chłopakom karty postaci, żeby sobie wymyślili, jakimi chcą być bohaterami. Planowałem, że Kacper będzie elfem, ale on powiedział, że wolałby zostać kapłanem Majów, bo to oni wymyślili ten kalendarz, który się akurat dzisiaj kończy. I żebyśmy w ogóle naszą grę przenieśli do świata Majów. Nie chciałem się zgodzić, bo nic nie wiem o Majach z wyjątkiem tego, że opraco-

wali taki głupi kalendarz. Kłóciłem się z Kacprem, a tymczasem Messi wszedł po drabince na moje łóżko i znalazł tam białego misia Kołtunka, moją ukochaną przytulankę, którą dostałem na drugie urodziny. Od tamtej pory zawsze śpię z Kołtunkiem i nie ma w tym nic dziwnego.

Messiemu jednak wydało się to dziwne.

– Patrzcie, Konrad śpi z misiem! – zawołał i zrzucił Kołtunka na podłogę. Okropnie się zawstydyłem i powiedziałem:

– Wcale z nim nie śpię! Kiedyś spałem, ale teraz używam go jako piłki do nogi. Jest lepszy niż nasza szkolna szmacianka – i pokazałem im, jak gram tym misiem, a oni się szybko przyłączyli. Super się grało, naprawdę! Marcin strzelił lobem na stół, akurat w resztki czekoladowego tortu i miś przestał być biały, a stał się całkiem brązny. Wytarłem go trochę w zasłonę i mogliśmy grać dalej. Kołtunek zostawiał co prawda brązowe ślady tam, gdzie upadł, ale nie bardzo było je widać. Dopiero jak Messi strzelił misiem w lampę i lampa upadła z hukiem, a z misia sypnęło się coś dziwnego, taki drobniutki, plastikowy groszek, przybiegła mama. Stanęła w drzwiach i z niewyraźną miną patrzyła na nasz pokój.

– Proszę pani? – zapytał Kacper. – A która godzina?

Mama machinalnie zerknęła na zegarek.

– Wpół do dziesiątej.

– O, to fajnie. To znaczy, że się jednak pomylili.

– Kto się pomylił? – spytała mama.

– Majowie. Bo chyba już dzisiaj z tego końca świata nic nie będzie.

Mama rozejrzała się po pokoju, a jej spojrzenie nie wróżyło nic dobrego. Dziwna rzecz, dopiero śledząc jej wzrok, spostrzegłem te wszystkie zniszczenia: czekoladowe plamy na poduszkach i zasłonach, rozwaloną lampę, rozsypane białe kuleczki z wnętrza misia.

– Nie będzie końca świata? Wielka szkoda – powiedziała mama grobowym głosem. – Naprawdę wielka szkoda.

ŁAŃCUCH POKARMOWY



Po moich urodzinach zaraz nadchodzą święta. I w sumie, chociaż trochę narzekam, bardzo dobrze, że mam te urodziny, bo przynajmniej wtedy dostaję prezenty tylko dla siebie. Na Boże Narodzenie jak jest jakiś lepszy i większy prezent, to zawsze z podpisem „Konrad i Gustaw” albo „Gustaw i Konrad”, a to znaczy, że jest wspólny, i że trzeba będzie się nim dzielić. A dzielenie się czymkolwiek z Guciem to po prostu męka.

Weźmy na przykład ten zeszłoroczny zestaw „Pułapka na triceratopsa”. Od razu jak tylko go dostaliśmy, zapowiedziałem Gutkowi, że może się bawić wyłącznie triceratopsem, a wóz-pułapka jest mój. Ale nie przewi-

działem tego, że on wraca z przedszkola godzinę wcześniej niż ja ze szkoły. Ja odstawiałem pojazd na najwyższą półkę, a on, kiedy tylko przychodził do domu, prosił mamę, żeby go zdjęła. Niczego nieświadoma mama litowała się nad biednym dzieckiem i podawała mu zabawkę. A biedne dziecko wszystko rozwalalo, przerabialo i gubilo. Od razu zgubil mi trzy swiatełka, helm kierowcy i karabinek. W tej sytuacji chyba jest zrozumiale, że się na niego wściekałem. A on leciał do mamy i skarżył, że „nie pozwalam mu się bawić wspólną zabawką”. Jak to nie pozwalam? Mógł się bawić triceratopsem, ile chciał, wcale bym mu nie bronil. I tak ten triceratops wygladal jak krowa. A mama od razu do mnie, że powinniśmy nauczyć się współdziałania i że ja, jako starszy, mógłbym opracować jakiś plan, jak się bawić bez awantur. Ja na to, że opracowałem plan i to jest bardzo proste, bo nie będzie żadnych awantur, jeśli on będzie trzymał się swojego zasmarkanego triceratopsa, a zostawi w spokoju to, co moje. Mama uważała jednak, że to niesprawiedliwe, więc jej powiedziałem, że niesprawiedliwe to jest to, że co roku dostajemy wspólny prezent. Mama się zasmuciła.

– Wiesz – powiedziała. – Święty Mikołaj nie jest taki zamożny, żeby kupić wam obu po bardzo drogim prezencie. Woli, żebyście dostali jeden wspólny prezent, ale lepszy, niż dwa drobiazgi, z których nie będziecie zadowoleni.

– A ja wcale nie wiem, czy tak jest lepiej. Dobry prezent nie musi być strasznie drogi – i na dowód przyniosłem mamie katalog Lego, gdzie miałem od jesieni pozaznaczane takie różne mniejsze zestawy, które wydawały

mi się całkiem w porządku i nawet niedrogie. Tak gdzieś do stówki każdy.

– No dobrze – westchnęła mama. – Pomyślmy o tym. To znaczy, Święty Mikołaj pomyśli – poprawiła się szybko.

Ciekaw byłem, czy Święty Mikołaj w tym roku wyciągnie jakieś wnioski z serii dotychczasowych porażek (tak zawsze mówią komentatorzy sportowi). Tymczasem poszliśmy z tatą po choinkę i kupiliśmy bardzo ładną, ani trochę nie krzywą (zeszłoroczna była krzywa) i łysą tylko na niewielkim, może półmetrowym odcinku tuż przed czubkiem (dwa lata temu mieliśmy łysą od dołu i z dużymi prześwitami pośrodku).

Ustawiliśmy choinkę w dużym pokoju.

– Przynieś nożyczki – poprosił tata. Chciał przyciąć kilka drobnych gałązek, żeby móc wcisnąć drzewko w stojak.

Poszedłem do pokoju i co widzę? Gucio jak gdyby nigdy nic tnie na kawałki mój zeszyt do angielskiego.

– Co ty robisz?! – wrzasnąłem.

– Łańcuch na choinkę – odpowiedział głosem niewiniątka.

– Z mojego zeszytu? Kto ci pozwolił?! I co to w ogóle za łańcuch? Pociąłeś mi zeszyt na makaron, to nie jest żaden łańcuch!

– A właśnie, że jest – powiedział Gucio z godnością. – To jest łańcuch pokarmowy.

– Co?! – nie wierzyłem własnym uszom.

– No wiesz, łańcuch pokarmowy. Dziadek mi opowiadał. Że wilk zjada zającą, zając trawę, a trawa... już

nie pamiętam. Tu, na tych białych paskach narysuję te wszystkie zwierzęta.

Wyrwałem mu nożyczki i wyszedłem. Co będę gadał z takim głupkiem.

Oprawiliśmy choinkę. Wyglądała bardzo ładnie. Tata zmiotł wszystkie igły i obcięte gałęzie, a w końcu zwinął resztki siatki, w którą nam zapakowali drzewko na placu.

– Idę wyrzucić śmieci – powiedział do mamy.

Bardzo długo nie wracał. Mama zawołała nas na kolację, a jego ciągle nie było.

– Mamo, czy pamiętasz, w co tata był ubrany? – zapytałem zaniepokojony.

– No... normalnie, w spodnie i sweter... A czemu pytasz? – zdziwiła się mama.

– Nie, nic, tylko kiedy dają takie ogłoszenia: „Wyszedł z domu i nie wrócił”, to zawsze jest opisane, jak ten ktoś był ubrany. Głupio by było, gdybyśmy musieli dać ogłoszenie, a nie pamiętaćlibyśmy, co miał na sobie...

– Konrad, czyś ty oszalał? O czym ty mówisz? – mama się zdenerwowała. Podeszła do okna i wyjrzała przez nie, ale na podwórzu nie paliła się latarnia, więc nic nie zobaczyła. – Chyba do niego zadzwonię – powiedziała.

– Nic z tego. Już sprawdziłem – zostawił telefon na biurku.

Porozumieliśmy się wzrokiem ponad głową Gucia. Po co straszyc biedne dziecko, niech nie zdaje sobie spr-

wy, że jego ojciec jest na dobrej drodze, by zaginać bez wieści, a my nawet nie pamiętamy, czy miał na sobie te jedne dzinsy, czy te drugie.

– Jedz, jedz, malutki – powiedziałem łagodnie, żeby nie przeczuł niebezpieczeństwa. – Kto wie, co będziesz jadł, jak ojca zabraknie...

– Konrad! – Mama chyba się na mnie zezłościła, ale na szczęście zgrzytnął klucz w zamku i wszedł tata. Uszy miał czerwone od zimna i patrzył ze zdziwieniem na mamę, która zawołała: „Dzięki Bogu!” z taką miną, jakby wrócił z długiego, samotnego rejsu przez Atlantyk.

– Co się stało? – zapytał.

– To ja się pytam, co się stało? Gdzie byłeś tak długo?

– A, spotkałem przy śmietniku Kota z psem, więc musieliśmy sobie pogadać.

Pan Kot to jest nasz sąsiad z trzeciego piętra. Naprawdę zawsze o tej porze wyprowadza swojego psa, ale zabrzmiało to bardzo śmiesznie i mama w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Kota z psem?

– No tak – to znaczy Kot wyprowadzał psa.

– Właściwie pies Kota to suka – uściśliłem.

– He, he, he – zaśmiał się Gucio z pełnymi ustami.

– He, he, he. Pies kota to suka. To się nazywa łańcuch pokarmowy.

